



Kawiarnia Zemiańska w karykaturze Jerzego Jotesa Szwajcera, rok 1930.

LITERACKIE STOLIKI

*Pisało o nich już wielu, ale nikt nie zbadał ich fenomenu równie wnikliwie jak profesor Andrzej Z. Makowiecki. Z autorem fascynującej książki *Warszawskie kawiarnie literackie* rozmawia Rafał Sławon*

RAFAŁ SŁAWON: Panie Profesorze, jak to się dzieje, że kawiarnia staje się kawiarnią literacką?

ANDRZEJ Z. MAKOWIECKI: Dokładnie nie wiadomo. Może to dzięki zrządzeniu niebios albo komunikacji środowiskowej kawiarnia zaczyna być w pewnym momencie modna i gromadzi się w niej środowisko. Pewnie ktoś mówi: jest takie świetne miejsce, spotkajmy się. Potem to obrasta. Tego rodzaju kawiarnia ma lata niesłuchanego rozwoju, potem stabilizacji, a potem gdzieś to się wszystko rozłączy...

A czym wynalazkiem jest kawiarnia literacka? Francuzi pierwsi wpadli na ten pomysł?

Jeśli chodzi o początki, to możemy nie mieć kompleksów. Rodowód kawiarni literackich sięga epoki romantycznej i mniej więcej wtedy pojawiły się tego rodzaju miejsca i we Francji, i w Polsce. Przy czym trochę wykrzywiłam się na nazwę kawiarnia literacka wobec tych romantycznych, bo one miały charakter bardziej polityczny. Zbierało się tam głównie środowisko konspiracyjne i niepodległościowe.

Puśćmy wodze fantazji. Gdyby mógł pan pójść do jednej z opisywanych przez siebie warszawskich kawiarni, którą by pan wybrał?

Jestem przede wszystkim historykiem Młodej Polski – chociaż ciągle włączę w dwudziestolecie – i przyznam się szczerze, że przy całej estymie wobec wielkiej skamandryckiej piątki, nie jestem pewien, czy akurat Zemiańska wzbudziłaby żywszy rytm mojego serca. Natomiast niezwykle by mnie ciekawiła Udziałowa. Tam gromadził się kwiat warszawskiej Młodej Polski. Był to poza tym lokal, który miał swoje smaczki: kelnerów w długich bordowych surdutach, obszerny hol z kanapą, lustrami i palmą. Jak świetnie pisał Jerzy Zaruba, kiczowatość Udziałowej miała taki wymiar, że zaczynało to już być efektowne... Nie było tam też tłumu i przepychania się. W Zemiańskiej ludzie czasami stali albo przemieszczali się między stolikami – chodziło o to, żeby się pokazać. Udziałowa pod tym względem była spokojniejsza. Miała nawet portiera przy wejściu i byle kto tam nie mógł wejść.

W każdej kawiarni literackiej był stolik, przy którym gromadzili się bywalcy. Taki stolik miał swojego zarządcę. Kogoś, kto dopuszczał wybrańców i odstraszał intruzów. Krótko mówiąc: zarządzał ruchem.

To się zrobiło później. W Udziałowej mówi się tylko o stoliku słynnego Franca Fiszera, ale on nie miał stałego miejsca. Po prostu przychodził, ktoś w rodzaju kierownika sali wskazywał mu stolik i wokół niego się skupiano. Ale nie był to stolik, którego nie wolno było ruszyć.

To kto był pierwszym „dyrektorem” takiego stałego stolika? Rok 1927. Półpięterko Zemiańskiej i Jan Lechoń. To był rzeczywisty dyrektor stolika, bo to jemu Albrecht, właściciel Zemiańskiej, zaproponował miejsce. Na początku był to stolik redagowanego przez Lechonia *Cyrułika Warszauskiego*, ale potem ściągnęli za nim jego koledzy skamandryci.

Jak można było zostać przyjętym do stolika w Zemiańskiej? Nie było tabliczki „zarezerwowany”, ale nikt nie śmiał z niego skorzystać, nawet kiedy był pusty. Musiał ktoś wprowadzić. Jak pisze Krzywicka i inni

wspominkarze, wszyscy bali się Lechonia, bo on rządził w sposób niesłychanie despotyczny. Znana jest anegdota, jak generał Wieniawa usprawiedliwiał się przed Lechonem, że siedzi z nimi jakiś nieznanymi osobnik. Tłumaczył, że to wojewoda – przyjechał zmęczony z prowincji, posiedzi sobie i pójdzie... A przecież wojewoda w hierarchii dwudziestolecia znaczył zdecydowanie więcej niż dziś! Świetna jest też historia, jak przyjęci zostali do stolika Boy i Krzywicka. Krzywicka myślała, że to wielki Boy ją wprowadził, a Boy, który był bardzo skromny, sądził, że wprowadziła go Krzywicka, która była współpracowniczką *Wiadomości Literackich*.

Przy stoliku w Zemiańskiej piło się alkohol?

We wspomnieniach skamandrytów zawsze pojawia się Wróbel, czyli restauracja położona vis-à-vis. W Zemiańskiej były zatem kawa i dyskusje, a na wódeczkę szło się naprzeciwko. Zresztą podobnie było z Czytelnikiem, który miał po drugiej stronie ulicy Wiejskiej swojego Jontka.

W Zemiańskiej mieli swój stolik nie tylko skamandryci.

Urzędowali tam również plastycy i Gombrowicz...

Tu właśnie widać cały układ hierarchiczny. Gombrowicz miał stolik na dole i, o ile znamy jego psychikę, możemy podejrzewać, że czuł się stłamszony przez pięterko ze skamandrytami.

Może dlatego przenieśli się do Zodiaka?

To jest śmieszne, bo z kolei kiedy skamandryci dotarli do Zodiaka, to głównym rozgrywającym był tam już Gombrowicz ze swoją drużyną. Teraz oni musieli się z tym bardzo źle czuć. Przecież chodziło o to, żeby być tym najważniejszym stolikiem!

Skoro jesteście przy Zodiaku. To była jedna z najnowocześniejszych warszawskich kawiarni. Dziś powiedzielibyśmy, że designerska...

Tak! Właścicielką Zodiaka była Jadwiga Kowarska, żona Felicjana Kowarskiego, znanego awangardowego malarza. Jego obrazy wisiały tu na białych ścianach. W Zodiaku był też sala bilardowa, a w szatni pracował rodowity czarnoskóry warszawiak, który nazwał się Diak. Charakterystycznym elementem był zaprojektowany przez Henryka Grunwalda śliczny metalowy sztyl ze znakami zodiaku.

Literackie kawiarnie gromadziły wielu oryginałów.

Wspomnieliśmy już Franca Fiszera, kogo jeszcze mogliśmy zaliczyć do tej kategorii?

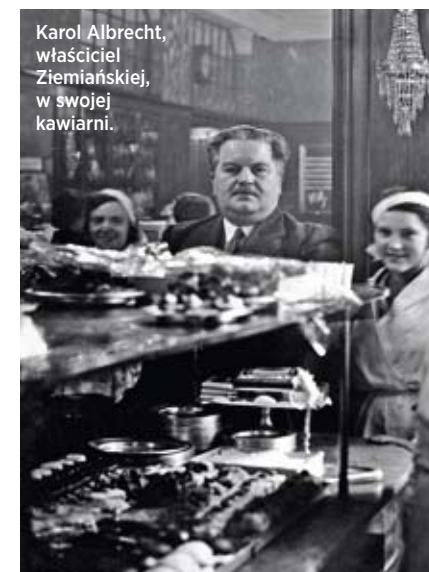
Feliksa Jabłczyńskiego, który siadywał w Zemiańskiej, a wcześniej był jednym ze stałych klientów Udziałowej. W okresie międzywojennym był już człowiekiem bardzo leciwym i schorowanym, ale miał, podobnie jak Kazimierz Przerwa-Tetmajer, carte blanche na kawę za darmo we wszystkich kawiarniach. To fascynująca postać. Człowiek wielu talentów. Wynalazł coś w rodzaju pierwotnej kserokopiarki. Kręciło się korbą wyżymaczki i wyjeżdżały zwielokrotnione grafiki. Ale jego najsłynniejszy wynalazek to mydło do mycia zepsutego mięsa dla usunięcia przykrego zapachu. Poza tym opracował receptę na tygodniowe gotowanie. Polega to na tym, że wkładamy do garnka rozmaite produkty: kawałek mięsa, ryby, trochę kaszy, ziemniaków i co tam jest pod ręką. Następnie gotujemy wszystko, aż zrobi się breja. Można z niej korzystać każdego dnia. Jak ma się ochotę na rybę, to znajdzie się kawałek ryby. Apetyt na gotowane mięso? Też się coś wygrzebie. Zapytany, co zrobić, gdyby to było niedobre, Jabłczyński odpowiadał, że zawsze można dodać majeranku.

Teraz muszę zapytać o pana ulubione anegdoty kawiarniane...

Z tym jest pewien problem. W swojej książce usiłuję konsekwentnie nie ubarwiać, nie zmyślać i nie wsadzać czegoś, na co nie mam potwier-



Warszawa, ul. Traugutta 6 – tu mieściła się słynna kawiarnia artystyczna Zodiak.



Karol Albrecht, właściciel Zemiańskiej, w swojej kawiarni.



Na pięterku w Zemiańskiej – rys. Mai Berezowskiej (1947). Od lewej: Jarosław Iwaszkiewicz, Julian Tuwim, Kazimierz Wierzyński, Jan Lechoń.



W warszawskiej kawiarni Sztuka i Moda.

dzenia z epoki. Muszę mieć też dowód lokalizacji, świadectwo, gdzie dana rzecz miała miejsce. Na przykład z całej masy bon motów Fiszera mogłem wziąć tylko te, o których wiem, że tego a tego dnia, siedząc przy stoliku z tym i z tym, Fiszer powiedział to i to. I takich jest mało! Ale najświetniejszą historyjką, którą opowiadał w Ziemiańskiej – potwierdza to młody Juliusz Żuławski – jest ta o zaproszeniu przez cara przedstawicieli szlachty polskiej do pałacu. Car przyjął wszystkich bardzo łaskawie, wznosił toasty, a zgromadzonym serwowano zupę żółtą sprowadzoną w beczkach prosto z Paryża. Po takim przyjęciu goście wyszli szalenie zadowoleni. Tyle że na podwórzu szarżowała sotnia kozacka i płazowała ich szablami. Pytany, dlaczego, Fiszer odpowiadał: Ano dlatego, żeby się nam we łbie nie przewróciło. I to jest genialne!

Jedna z naczelnych zasad obowiązująca na przestrzeni lat przy wszystkich stolikach brzmiała: nie nudzić!

Już po wojnie w Czytelniku Tadeusz Konwicki miał cały system znaków ostrzegawczych dla nudziarzy...

Najpierw były miny, potem jakieś gesty, potem milczenie, a na koniec Konwicki kładł głowę na blacie stolika w geście ostatecznego wyczerpania. I to była już śmierć. W Czytelniku występowało zresztą rozróżnienie. Jak kogoś brało się do stolika na raz, mówiło się: „podejdz” albo „siadaj”. Natomiast „przychodź” oznaczało „przychodź zawsze”. Jeśli chodzi o Czytelnika, to zawsze intrygowało mnie, że nigdy nie zasiedlił się w nim na stałe Słonimski, tylko wpadał w drodze z kawiarni PIW-u do Ujazdowskiej. 15–20 minut i zniknął. Chodziło pewnie o ważność przy stoliku. W PIW-ie był gwiazdą, a w Czytelniku nie miał na to warunków. Najważniejszy był Konwicki.

Bywalcy kawiarni często robili sobie afronty, czy była to pokojowa koegzystencja?

Robili, oczywiście! To była często wymiana ciosów. Nagminnie zdarzało się to przy kolejnych stolikach Gombrowicza, przy których atmosfera była raczej ciężka, napięta. On czasami lubił kogoś zniszczyć. Był przed wojną świetnie zapowiadający się krytyk Ludwik Fryde. Gombrowicz nazwał go „biednym panem Łudwikiem” i bez przerwy tak się do niego zwracał. Jako że Fryde był człowiekiem bardzo serio, po kilku takich odezwaniach przestał się w ogóle pokazywać. Paweł Hertz wspominał po latach, że Gombrowicz wszędzie musiał zaznaczyć swoją pierwszorzędność.

Tyle że Hertz dał mu odpór już na wstępie.

Kiedy ten chwalił się koneksjami, pochodzeniem i pieniędzmi, Hertz, pochodzący z bardzo bogatej żydowskiej rodziny, zgasił go od razu, mówiąc, że „ma więcej pieniędzy, rodzinę zapewne o dobry tysiąc lat starszą, a swoimi preferencjami seksualnymi wprawdzie nie afiszuje się w kawiarni, ale też ich, w przeciwieństwie do Gombrowicza, nie ukrywa”.

W swojej książce pisze pan też o skandalach.

Jeden z największych skandali całego dwudziestolecia to spoliczkowanie Słonimskiego przez dziennikarza Zygmunta Ipohorskiego za wiersz *Dwie Ojczyzny*, który mówił o dwóch wyobrażeniach patriotyzmu i miłości do Polski.

To stało się w Ziemiańskiej...

Tak. Zresztą wątpliwy obrońca patriotyzmu Ipohorski został w czasie okupacji zastrzelony z wyroku sądu podziemnego za kolaborację z Niemcami.

Nie rozmawialiśmy jeszcze o kobietach. Zaczynam mieć podejrzenie, że kawiarnie literackie mogły mieć trochę seksistowski charakter...

Różnie to bywało. Na przykład z relacji Grzelaka, który był w najlepszych latach Udziałowej chłopcem od gazet, wiemy, że kobiet (poza paniami



Kawiarnia Instytutu Propagandy Sztuki w Warszawie. Przy stoliku grupa malarzy.



Kawiarnia Udziałowa, ok. 1910. Kartka pocztowa według obrazu Tadeusza Cieśliewskiego.

z półświatka) prawie tam nie było. Natomiast w tym samym czasie – tzn. przed pierwszą wojną światową – pokaźną reprezentację pań, głównie ze świata artystycznego, można było spotkać w kawiarni Nadświdrzańska. Tylko tam w lecie był ogródek i miało to walory prezentacyjne – można się było pokazać w nowym kapeluszu. W okresie międzywojennym w kawiarniach było już inaczej. Choć stolik skamandrycki jest przede wszystkim męski, stale są obecne przy nim kobiety. I to piękne kobiety! Dość wspomnieć Irenę Krzywicką, Izabelę Czajkę-Stachowicz czy Marię Pawlikowską-Jasnorzewską i jej siostrę Magdalenę Samozwaniec.

Czy dzisiaj mamy w Warszawie kawiarnię, która spełnia wymogi literackiej?

Są kawiarnie, które skupiają artystyczno-literackie środowisko. Są takie miejsca na Pradze, jest Czuley Barbarzyńca, jest Tarabuk na Browarnej. Są też liczne kawiarniokluby, w których odbywają się słamy poetyckie.



Ale wydaje mi się, że to jest trochę inne zjawisko. Upieram się, że aby kawiarnię można nazwać literacką, to musi w niej być publiczność nieliteracka i nieartystyczna, która lezie jak muchy do miodu, żeby kibicować i przyglądać się tym wielkim. Tego nie ma. Chyba gdzieś pękły więzi środowiskowe, które budowały takie lokale.

Warszawskie kawiarnie literackie, Andrzej Z. Makowiecki, wyd. ISKRY